



*Źródło: "Świadczenie prof. Janiny Thomasówny o śp. Siostrze Medardzie" - Z moich kntaków z Zofią Wyskiel (Siostrą Madardą) ur. 19.III.1893 r. - zm. 16.V.1973 r.*

Świadczenie prof. Janiny Thomasówny o śp. Siostrze Medardzie

### **Mówiło się ogólnie „Siostra Medarda”**

Tyle, ile pamiętam z jej opowiadania, urodzona była w Nowym Sączu, a może w okolicach Nowego Sącza. Ojciec jej był architektem, miała liczne rodzeństwo, wychowana bardzo religijnie, zwłaszcza matka dawała żywy przykład pobożności.

W 19 roku życia, po ukończeniu szkoły średniej (w 1912) wstąpiła do klasztoru. Jak nieraz mówiła, do klasztoru zaprowadziło ją piękno przyrody. Podziwiając urok twórczości Bożej, zapagnęła oddać się na służbę Samemu Stwórcy.

Być może, że zaczęła swój nowicjat właśnie w Nowym Sączu, chociaż nie wiem tego na pewno.

Wkrótce po złożeniu ślubów, a może w kilka lat później została przysłana do Poznania – nie wiem w którym roku – jako Siostra Serafitka, z poleceniem, aby tu przygotowała teren na budowę klasztoru.

Siostra Medarda już we wczesnych latach swego dzieciństwa miała pewne charyzmaty i jako 12-letnia dziewczynka widziała koło siebie Anioła Stróża. Później te wizje i również słyszane słowa stopniowo się wzmaczały i – jak mi Siostra opowiadała – słyszała często słowa Pana Jezusa napominającego: „Zbuduj mi ambonę!” Było to już w klasztorze. Siostra zrozumiała, że ma starać się o to, by powstał dom rekolekcyjny.

Nie wiem, czy w klasztorze siostry o tym wiedziały i na tej podstawie skierowano ją do Poznania. Na pewno bóg skierował ją tutaj, by swoje zamiary przeprowadzić.

Jak siostra sama opowiadała, miała w kieszeni po przyjeździe do Poznania 5 zł, ale zaraz zaczęła poszukiwania za odpowiednią parcelą pod klasztor. Upatrzyła sobie miejsce za mostem św. Rocha i poszła z gotowym planem do Zarządu Miasta w ratuszu z prośbą o tę parcelę. Odpowiedziano jej, że dopiero trzeba zwołać zebranie Zarządu i jeżeli uchwałą sprzedaż, to teren ten kosztować będzie 10 tysięcy złotych. Na to siostra ze zdziwieniem odpowiedziała: „Ależ Panie! Ja tu przyszłam ze świętym Antonim i ja to chcę mieć za darmo!”

Po tygodniu czy dwóch wróciła po odpowiedź: a wtedy orzekli ci panowie, że owszem, dać jej to mogą, ale ponieważ to musi być sprzedaż a nie dar, więc trzeba, aby zapłaciła 1 tysiąc zł.

Siostra zgodziła się i tego samego dnia napisała najpierw do jednego banku, a potem do drugiego z prośbą o 500 zł na zakup parceli pod klasztor, na co dostała odwrotną pocztą przesyłkę owych dwa razy po 500 zł w darze i parcela została zakupiona. Powolutku zaczęła się budowa z dalszych uproszczonych pieniędzy i – „ambona została zbudowana”.

W dalszym ciągu mego opowiadania chcę powiedzieć, co wiem o siostrze, - czy to z własnego jej opowiadania, czy z tego, co mówili inni, czy wreszcie czego sama doświadczyłam przy bliższym się z nią zapoznaniu. A zapoznałam ją chyba w r. 1940, najdalej w r. 1941 i do końca jej życia utrzymywałam z nią bliski kontakt, a więc przez więcej niż 30 lat. Poznałam ją zupełnie przygodnie w poczekalni u lekarza. Siostra zwróciła się wtedy do mnie i coś mówiła o Bogu – nie pamiętam co – byłam tylko zdziwiona taką bezpośredniością. – jak mi później powiedziała, poznała we mnie od razu duszę sobie „pokrewną” i wiedziała, że będziemy miały z sobą jakieś wspólne zadania czy działanie.

W każdym razie od tego pierwszego spotkania nasz kontakt stał się bliski i spotkania częste. Był to czas okupacji, kiedy siostry chodziły w „cywilu” i miały swobodę w wychodzeniu do miasta. Zatem spotykałam ją codziennie w kościele św. Wojciecha, jednym z dwóch kościołów w mieście, które wtedy nie były zamknięte dla Polaków. Po mszy świętej odprowadzałyśmy się wzajemnie i tak powoli Siostra zaczęła wypowiadać swoje zdania o religii, mówiła na temat pobożności – i wnet mogłam zauważyć, że wypowiedzi jej były niepowszednie i nieprzeciętne.

W domu notowałam sobie niektóre jej uwagi i zdania, chociaż wobec niej nie okazywałam żadnego zadziwienia ani podziwu. Sama zresztą byłam z początku trochę nieufna, a w każdym razie ostrożna w wypowiedaniu jej swojej opinii.

I tak, na przykład idąc z Siostrą plantami, wspominałam jej o moim niedawno zmarłym szwagrze, nie mówiąc jeszcze o nim nic więcej – kim był i jakim był. A Siostra odpowiada: wiesz jak go widzę? Jest czynny przy ołtarzu, jakby w roli subdiakona, i mówi tak: „Co zaniedbałem na ziemi muszę tutaj uzupełnić” (tzn. że był w czyśćcu). Dopiero wtedy wyjaśniłam, że zmarły był swego czasu w Seminarium Duchowny, skąd wystąpił, a w kilka lat później poznał moją siostrę i z nią się ożenił.

Mówiła więc o duszach zmarłych. Mówiła tak samo o duszach żyjących. Podobnie innym razem wspominałam na ulicy, że mam b. pobożnych w Warszawie, nie mówiąc poza tym o nich nic bliższego. Powiedziała Siostra: „tak, ta pani to dusza ascetyczna, ten pan idzie naturalna drogą dziecka Bożego” i zaraz o jeszcze innej duszy dodała: „a ta jest dusza kontemplacyjna z podłożem mistycyzmu”. Uderzająca była dla mnie trafność tych wypowiedzi.

Przy bliższym poznaniu Siostry przekonałam się, że można się było do niej zwracać w każdej trosce, a znajdowało się uspokojenie i pociechę. Przekonałam się też, że Pan Bóg jej niczego nie odmawiał i była wysłuchiwana w swoich modlitwach. Wiarę miała tak wielką jakiej – mogę to szczerze powiedzieć – nigdy u nikogo nie spotkałam. Gdy np. chodziło o uproszenie uzdrowienia dla ciężko chorych, a nawet beznadziejnie chorych, odpowiadała: „dopóki nie jest w kostnicy nie tracę nadziei. Trzeba się modlić!”

Pewnie, że czasem bywało, że ktoś polecony jej modlitwom przecież nie był uzdrowiony, ale były to raczej wypadki, kiedy nie obiecywała uzdrowienia, wiedząc, że Pan Bóg ma tu inne zamiary. Mówiła np. tak: „Pan Bóg tę duszę zabiera bo gdyby żyła dłużej, nie uświęciłaby się”. Zawsze Bóg ma bowiem na uwadze dobro duszy i życie wieczne.

O zakonach wyraziła się, że często Bóg powołuje duszę do klasztoru, aby ją tam uchronić i zabezpieczyć, bo w świecie nie uświęciłaby się. Oczywiście to nie jest reguła, bo każda dusza jest inna i każda ma służyć Bogu na sposób jej właściwy.

Siostrę nazywano „żebraczką modlitwy”, bo każdego kogo spotykała prosiła o modlitwę. W

ten sposób zapewniała sobie pomoc w swoich modlitwach.

A modliła się nieustannie, miała wielki dar stałej łączności z bogiem. Wspominała mi raz, że modlitwą w jednej sekundzie obejmuje cały świat: ziemię, niebo, czyściec.

Widziałam ją raz z daleka na ulicy. Szła różnym krokiem, energiczna, a przy tym pełna godności. Wyczuwało się w niej moc duchową. Były to czasy, gdy Siostra była jeszcze zdrowa. Później wiele chorowała i ruchy jej stały się bardzo powolne, ociężałe – jak u starców.

Pewnego razu siostra poszła ze mną na cmentarz garnizonowy, gdzie odwiedziłam mego zmarłego brata. Gdy doszliśmy już do tego grobu, spytała Siostra: „czy twój brat był w wojsku Hallera, bo ja go widzę w mundurze Hallerczyka?” Mówię, że tak i tak jest pochowany. Opisała mi go dokładnie jak wygląda i to z takimi szczegółami jak np., że ma oczy głęboko osadzone, iż umiałam go sobie wyobrazić jak żywego, chociaż od jego śmierci minęło wtedy ponad 20 lat. Mówiła, że za wiele cierpień na ziemi, rychło został uwolniony z czyśćca. Gdy wracałyśmy z cmentarza, mówi mi siostra, że brat nas odprowadza pełen wdzięczności za te odwiedziny. Za chwilę pojawia się koło niego drugi brat, poległy pod Lwowem i tam pochowany. Opisała mi tego w sposób prawdziwy (np. pierwszy b. żywy, drugi poważny, wzrostem wyższy itp.) I tak szli z nami, aż do miasta, chociaż rozmawiałyśmy już na inne tematy. W pewnym momencie siostra zatrzymała się i mówi: „zaczekaj chwileczkę, ci panowie odchodzą i chcą się pożegnać” i dodaje: „tak się kłaniają...”

Brata tutaj chowanego widziała potem częściej i można powiedzieć polubiła go bardzo. Wyraziła się później o nim: „Najwięcej go lubię ze wszystkich umarłych”. Odwiedzał ją także w jej mieszkaniu i rozmawiał z nią. Raz powiedział: „Niech się Inka nie martwi chorobą ręki, bo ta ręka mnie z czyśćca wybawiła” tzn. przez moje cierpienia on miał ulgę w swoich cierpieniach (chorowałam długie lata na stany zapalne prawej ręki, co było mi wielką przeszkodą w mojej pracy zawodowej).

Tak oto Siostra znowu zaakcentowała wartość i ocenę każdego z naszych cierpień.

Siostra twierdziła też, że dusze zmarłych wiedzą o tym, gdy je odwiedzamy na cmentarzu, nawet że wiedzą o nas wszystko tj. tyle ile Bóg pozwala, aby wiedziały. Tylko my o nich nie wiemy. One się za nas modlą i dusze w niebie za nas się modlą, ale mają o wiele więcej możliwości upraszać dla nas łaski, jeżeli my je o to prosimy. Porównywała to do okupacyjnych „Bezugscheinów” – jak to bez Bezugscheinu nic nie można było nabyć, więc nasza modlitwa jest dla tych dusz owym „Bezugscheinem” i na tej podstawie łatwiej upraszają dla nas łaski, o które prosimy. Twierdziła też, że żadna modlitwa nie idzie na marne, bo chociaż czasem pozornie nie jesteśmy wysłuchani, to Bóg wysłuchuje nas w inny sposób, sobie wiadomy. Bóg ma na uwadze zawsze dobro duszy, dobro życia wiecznego i nasze warunki życia nagina do tego najważniejszego celu. Nie domyślamy się nawet, jak Bóg zabiega na każdą chwilę o dobro każdej duszy. My nie wiemy co dla nas lepsze, lecz wola Boża jest zawsze dobrem dla nas. Ale w swej prostocie ducha mówi Siostra czasem tak: „Proszę Boga, by moja wola tj. moje pragnienie, było wolą Bożą.”

Gdy w dniu jej imienin składałam jej życzenia, mówi Siostra: „Ja nic nie chcę, tylko, abym była wysłuchana we wszystkich moich modlitwach”. Odpowiedziałam jej wtedy: „To chcesz bardzo wiele”. Wiem przecież, o jak wiele darów modliła się dla ludzi, dla całego świata.

Cała zresztą jej działalność miała charakter – że tak powiem – totalny. Wszystko co czyniła było na wielką skalę, z hojnością „wielkopańską”. W jednej sekundzie przyjmowała miliardy Komunii świętych duchowych, stosownie do swojej wiary. Czy we wspomnieniu biednych, czy w modlitwach, czy w rozdawaniu „cudownych medalików”. Np. przyniósł jej ktoś 100 poświęconych medalików, to za 3 dni nieraz nie miała już ani jednego. Dawała po jednym dla

każdego z członków rodziny wymieniając każdego po imieniu. Pamięć bowiem miała doskonałą. Pamiętała nieraz po roku i dłuższej kto i w jakiej intencji polecił się jej modlitwom.

Ludzie przychodzili do niej po radę, po pociechę, zwłaszcza z prośbą o modlitwę. Każdemu na zapytania dawała odpowiedź natychmiast, wiem, że w duchu posłuszeństwa każdemu.

Jednego razu skarżyła się przede mną, że źle się czuje, że jest zmęczona, a tak bardzo męczą ją te liczne odwiedziny. Gdy za chwilę ktoś zadzwonił, chciałam, tego gościa odesłać i mówię: „Wytlumaczę, że źle się czujesz”. Zaprotestowała żywo i mówi: „Nie! Nie wolno mi tego robić, muszę przyjąć każdego”. Taki miała nakaz od Pana Jezusa. Do śmierci była wierna w tych swoich zobowiązaniach. Jeszcze w przeddzień śmierci służyła swoim bliźnim pomimo przeogromnego wyczerpania. Czasem nawet mówić nie mogła.

Gdy od niej odchodziłam, mówił zwykle: „Idź w radościach Matki Boskiej i wracaj radosna” – a pozdrów... i wymieniała imiona wspólnych znajomych. Chciałam teraz wyjaśnić, jak to się stało, że Medarda opuściła klasztor i po okupacji zamieszkała w mieście. Otóż już w czasie okupacji, gdy Siostry były rozproszone i chodziły w cywilu, Siostra Medarda dużo obcowała wśród ludzi i tak stopniowo zaczęła „apostołować” wśród ludzi świeckich. Gdy w r. 1945 wróciła do normalnego życia w klasztorze, czuła nakaz Boży, że nadal ma działać w szerokim zakresie wśród świeckich. Tymczasem Przełożona klasztoru orzekła podobno: „Świecka noga tu nie postanie”. Siostra więc, chcąc ten wewnętrzny nakaz wypełnić, zwróciła się do ks. Biskupa z prośbą o zwolnienie jej ze ślubów (o ile się nie mylę, śluby te były obowiązujące na rok i na nowo odnawiane). Ks. Biskup sprawę rozpatrzył i zgodził się na wystąpienie Siostry z klasztoru. – Widziałam to pismo zwalniające ją z klasztoru, jakkolwiek dosłownej treści dziś nie pamiętam.

Znamiennym jest, że Siostra na ten temat nigdy nie miała niepokoju, a wtedy z całą swobodą wynajęła skromny pokój w mieście. Nie pragnęła też żadnego zabezpieczenia materialnego. Powiedziała: „Chcę być rzucona w świat, zdana tylko i wyłącznie na Opatrzność Bożą”.

Nie chciała też, aby się starano dla niej o jakąś pomoc ze strony „Opieki społecznej”. I tak przeżyła, wspierana tylko przez przygodne osoby ją odwiedzające, od r. 1945 do końca tj. do r. 1973, a więc 28 lat.

Ludzie odwiedzali ją codziennie zawsze inni, niektórzy tylko częściej i też zadbali o różne jej zapotrzebowania. Ale nie było to regularne, tylko przygodne, tak, że przyniesiono jej z dwóch stron równocześnie. Tak więc jej tryb życia był bardzo nieunormowany.

Nie wiem już dziś, od kiedy Zofia-Medarda obłożnie zachorowała, że wcale z domu nie wychodziła. W każdym razie taki stan trwał wiele lat. Zresztą w tym okresie Siostra wskutek katarakty stopniowo zaniewidziała zupełnie i oddana była wyłącznie na przysługi i usługi swoich bliźnich.

Był czas, że była zdecydowana na operację oczu i nawet był już dla niej zamówiony szpital w tym celu. Tymczasem w ostatniej chwili Zofia-Medarda zrezygnowała, mówiąc, że chce dobrowolnie zostać niewidomą na zawsze i w tej intencji, aby ludzie zaślepieni w swojej niewierze lub niedowiarstwie dostąpili tej łaski, aby przejrzeni w sensie duchowym. Tłumaczyła, że św. Franciszek o to się u niej upominał, gdyż sam był niewidomy. Mówiła Zofia potem: „Zrozumiałam, że straciłabym największy skarb jaki posiadam, gdybym znowu przejrzała”.

Zofia Wyskiel ofiarowała się dobrowolnie na cierpienie. We wczesnych latach ofiarowała się za kapłanów. Wtedy to spotkał ją pierwszy krwotok z nosa, który bardzo ją osłabił i te krwotoki powtarzały się coraz częściej przez wszystkie lata, aż do końca życia. Było to dla niej bardzo dotkliwe cierpienie. Byłam raz obecna przy takim ataku. Straciła Zofia-Medarda wtedy bardzo wiele krwi, słabła i traciła przytomność. Ratowałyśmy ją zimnymi kompresami. Zawsze ktoś się

znalazł w takich chwilach, by ją ratować. Nic też dziwnego, że wskutek takiego cierpienia Zofia-Medarda dostała silnej anemii. Były okresy, że miała tylko 29% hemoglobiny, a jeden z lekarzy wyraził się do niej: „Według praw lekarskich Zofia-Medarda powinna nie żyć od 20 lat”. A przecież żyła potem 20 lat albo więcej.

Wszakże pod koniec jej życia stwierdzone u niej normalny obraz krwi, chociaż krwotoki nie ustawały, a przeciwnie, były częstsze, czasem nawet codzienne.

W czasie okupacji była wezwana do badania lekarskiego, by stwierdzić czy jest „arbeitsfähig” (zdolna do pracy). Orzeciono, że 100% „unfähig” – jedynie nerwy ma zdrowe. Lekarka, która ją badała, radziła jej wziąć dorożkę i czym prędzej wracać do łóżka.

Zofia-Medarda w ostatnim roku czy nawet wcześniej nie mogła wstawać z łóżka o własnych siłach, to też zdarzyło się, że gdy usiłowała wstać, upadła na podłogę i tak leżała na podłodze nieraz godzinami aż ktoś przyszedł i ją odratował.

Wszystko to znosiła z prawdziwym poddaniem się Woli Bożej i chociaż o swych cierpieniach nieraz mówiła, to nie w formie narzekania jak to czynią na ogół chorzy. Prosiła Boga: „Panie daj mi ukochać to cierpienie”. Mówiła raczej: „Za mało jeszcze cierpiałam, muszę żyć długo, bo za mało cierpiałam”. Gdy ją ktoś spytał, czy pragnęłaby już umrzeć odpowiadała: „Mogę umrzeć dziś, a mogę też żyć do końca świata.” Mówiła w tym sensie, że co do tego zgadza się z góry z wolą Bożą, chociaż za szczęście uważała chwilę wyzwolenia z życia doczesnego. Gdy czasem spytała Pana Jezusa, kiedy ją zabierze, odpowiadał Pan Jezus: „Czy to dzieci tak pytają?” Siostra szła bowiem zawsze drogą dziecięctwa i dziecięcej ufności na wzór świętej Tereni. Starła się więc nie myśleć o tym, kiedy ją Bóg zabierze, zawierając całkowicie Bogu. Śmierci nie bała się absolutnie. Twierdził, że dla niej będzie to tylko przejściem z życia doczesnego do wiecznego, bo ona już to zna, co tam przeżywać będziemy.

Była też gotowa odbyć czyściec, gdyby Bóg tego wymagał. Nie lękała się niczego i nie troskała się o te sprawy. Zresztą uczyniła już we wczesnych latach ofiarę za dusze czyścicowe tzw. „Akt heroiczny”, przekazując wszystkie modlitwy i Msze święte za jej duszę po jej śmierci już teraz na korzyść dusz czyścicowych, potrzebujących pomocy. Mówiła też, że może dlatego ma taką łączność z duszami czyścicowymi tu na ziemi.

Była też oderwana od ziemi, że często powtarzała: „Nie jestem tu meldowana na ziemi, jestem duchem tam u Boga”. Czasem mówiła nawet, że swoje ciało nie odczuwa jako własne, lecz jako Jezusowe – przez zjednoczenie i przeistoczenie (według słów św. Pawła: „Już nie żyję ja, lecz żyje we mnie Chrystus”).

„Wystarcza mi Bóg, nie pragnę obecności ludzi”. To nie znaczy, że tych ludzi nie potrzebowała, bo skarżyła się czasem, że jej nie odwiedzają, że o niej nie pamiętają, bo dla nich żyje ona już za długo. W każdej jednak przeżywanej przykrości stwierdziła, że Panu Jezusowi było potrzebne to jej nowe cierpienie. Gdy czasem była głodna, uważała że Bóg tego chciał.

Niemniej, jeżeli chodzi o Opatrzność Bożą nad Zofią Wyskiel, to można powiedzieć, że były to rzeczy niezwykle. Różne jej życzenia spełniały się w sposób najbardziej nieoczekiwany. Pamiętam, że kiedyś gdy jeszcze była zdrowa i mogła wychodzić z domu, potrzebowała płaszcz na zimę. Modliła się do św. Marcina, powołując się w modlitwie na tę chwilę, gdy św. Marcin ofiarował ubogiemu połowę swego płaszczka. Było to krótko przed świętem św. Marcina. W sam dzień tego świętego, 11 listopada przynosi ktoś Siostrze w prezencie nowy materiał na płaszcz zimowy. Wkrótce też ktoś inny zajął się uszyciem tego płaszczka.

Prosiła o najprostszą rzecz, np. żeby ktoś teraz przyszedł i napalił jej w piecu i prawie zawsze została natychmiast wysłuchana. A jej modlitwa była nieustanna. Umiała kojarzyć różne

możliwości Świętych stosownie do ich przeżyć na ziemi. A więc w intencjach podróży zwracała się do św. Józefa i św. Krzysztofa. Bóle zębów polecała św. Apolonii, sprawy pieniężne św. Tekli, o nawrócenie prosiła „Dobrego Łotra”. Szczególne nabożeństwo miała do św. Józefa i św. Antoniego. Łączność duchową miała też z o. Pio.

Polecała mi też różne troski duchowe dla polecającym się jej modlitwom. Ojciec Pio był często u niej i z nią rozmawiał. Wchodząc raz do niej zauważyłam, że w pokoju odczuwa się silny zapach kwiatów a kwiatów w pokoju nie było. Siostra wyjaśniła: „Jest tu o. Pio.”

Pewnego razu przyjechała do niej pewna pani z Królewskiej Huty spod Krakowa i opowiedziała następującą rzecz: Pani ta miała jakiś szczególny sposób porozumiewania się z o. Pio, jeszcze za jego życia. Zadawała mi pytania i otrzymywała odpowiedzi. Gdy kiedyś prosiła go o wskazówki dla siebie – dla jej życia wewnętrznego, o. Pio odpowiedział: „Idź do Zofii Wyskiel, ona wskaże ci drogę.” Ta pani nie wiedziała, kto to jest Zofia Wyskiel. Dopytywała się wśród znajomych, ale nikt nie wiedział. Po jakimś czasie, będąc w Szczecinie, w rozmowie u znajomych dowiedziała się, że Zofia Wyskiel mieszka w Poznaniu: Zofia-Medarda Wyskiel. Przyjechała więc spokojnie do Poznania i rzeczywiście Zofia Wyskiel dawała jej cenne wskazówki. Przyjeżdżała ta pani co pewien czas na nowo, żeby porozmawiać z Zofią Wyskiel. Tyle wiem na ten temat ogólnikowo, bliższych szczegółów nie znam.

Do Siostry przyjeżdżały najróżniejsze osoby z całej Polski. Zdarzyło się, że przyjechały dwie panie z Krakowa. Przyjechały tu do lekarza specjalisty, ponieważ jedna z nich straciła słuch. Lekarz po zbadaniu orzekł, że tu ratunku nie ma, ponieważ nastąpił zanik nerwu. Może coś niecoś wymieniona pani jeszcze słyszała, ale wiem, że nawet przy bardzo głośnym mówieniu nic zrozumieć nie mogła.

Słyszały już coś o Zofii (Medardzie), więc przyszły do niej po radę i pociechę. Zofia Wyskiel modliła się za ową chorą i jak zwykle zalecała ufność w Miłosierdzie Boże. Te panie odeszły i wróciły do Krakowa. (Nie jestem pewna, czy ta druga z pań była z Krakowa czy może z Poznania. Wiem tylko, że były dwie.)

Gdy chora wróciła do Krakowa, czy może była jeszcze w drodze, zaczęła trochę słyszeć i stopniowo coraz lepiej. Słuch odzyskała. Po jakimś czasie przyjechała do Poznania i znów we dwie przyszły do Siostry Medardy, żeby jej podziękować za uzdrowienie. Ta uzdrowiona była tak przejęta i pełna wdzięczności, że od drzwi pokoju do łóżka obłożnie chorej Zofii (Medardy) przesunęła się na kolanach. Słyszała – i przypuszczam, że dotąd słyszy – normalnie. Nie potrzeba było nawet mówić głośniejsz niż do innych zdrowych.

Sama Zofia Wyskiel była przejęta tym cudem, gdy mi o nim opowiadała. W takich wypadkach mówiła: „Jaką wiarę miał ten chory (albo ta chora)”.

Wiem, że inna chora przyszła z prośbą o modlitwę przed operacją, bo przeswietenie wykazało chorobę raka. Zofia (Medarda) modliła się tymi słowami: „Żeby tego raka nie było, żeby tego raka nie było” i zegnała chorą cudownym medalikiem. Nazajutrz chorą operowano i stwierdzono, że ciało jest zdrowe, więc chorą odesłano do domu, a przecież przedtem przeswietenie wykazało konieczność operacji.

Takich wypadków uzdrowień znam bardzo wiele. Diagnozę stawiała niezawodną na podstawie „wyczucia” i zwykle też od razu zapowiadała uzdrowienie np. „stopniowo wróci do zdrowia”, albo „zostawmy to Bogu”, lub „ufajmy Bogu”.

Opowiadała mi też szczególny wypadek z czasów bytności w Zakonie. Siostra pracowała wówczas w szpitalu, chyba jako sekretarka, jeżeli dobrze pamiętam. Pewnego razu przyszedł do niej lekarz szpitala i mówi tak: „Niech Siostra zrobi cud, bo mam jutro operować pewną panią – trepanacja czaszki – a tymczasem sam jestem chory i mam wcześniej rano być operowany na

wyrostek”... Siostra Medarda odpowiedziała: „Pan Doktor będzie miał jutro temperaturę 36,8 i będzie operował tę swoją pacjentkę”. – Gdy ten lekarz rano wyszedł ubrany na korytarz, koledzy obścibali go zaniepokojeni z upomnieniem, że przecież powinien leżeć w łóżku. On zaś pokazał im termometr na dowód, że ma 36, 8 i wydał polecenia, by przygotowano do operacji jego pacjentki. Lekarz sam wyzdrowiał i nie było potrzeby go operować. Tak opisałam ten wypadek jak pamiętam, a były to dawne czasy, więc nie ręczę, czy nie zakradła się jakaś nieścisłość w tym opowiadaniu. W każdym razie lekarz wyzdrowiał i mógł tego dnia zoperować swoją pacjentkę.

Przypomina mi się też inne wydarzenie z opowiadań Medardy z owych czasów, jeszcze klasztornych:

Siostra prosiła Przełożoną klasztoru, żeby jej wolno było pójść do ogrodnika po kwiaty, aby przed świętem czy nawet niedzielą mogła udekorować kaplicę w klasztorze. Przełożona odmówiła, ponieważ projektowała przybranie kaplicy kilka dni później z racji innej jakiejś uroczystości.

Siostra Medarda więc udała się do kaplicy i tu modliła się płacząc, bo tak jej było przykro, że nie może Pana Jezusa kwiatami uczcić tego dnia. Niedługo tak się modliła, gdy usłyszała jakieś zamieszanie na korytarzu i powtarzano słowo: „Cud, cud”. Siostry wiedziały o tym całym zajściu między Medardą a Przełożoną, więc były wstrząśnięte, gdy właśnie zatrzymał się samochód przed klasztorem i kierowca oddał przy bramie wejściowej duży kosz z różami dla klasztoru i odjechał. Nikt się nie dowiedział ani wtedy, ani później kto te róże przysłał i kto je oddał.

Wtedy wolno było Siostrze te róże umieścić w wazonach dla przybrania kaplicy, a były niezwykle piękne i w takiej ilości, że mogły z nich Siostry jeszcze oddać znajomym.

Siostra Medarda przypisywała do wydarzenia jako spełnienie jej pragnienia w sensie nadprzyrodzonym, czyli jako cud.

Z życia swego opowiadała mi Medarda następujące ciekawe zdarzenia. W czasie jej pobytu w klasztorze Siostra czuła się chora i Przełożona nakazała jej nie wstawać. Tymczasem po Mszy św. Przełożona przysłała do pokoju Medardy z wymówką, że jej nie posłuchała, bo widziała ją w kaplicy, gdy przyjmowała Komunię św. Siostra Medarda zapewniała jednak, że nie była w kaplicy i z pokoju nie wychodziła, chociaż miała wielkie pragnienie przyjąć Komunię świętą.

Opowiedziała mi też Zofia Medarda jak u oo. Franciszkanów spowiednik w konfesjonale pouczał ją, że nie wolno przyjmować Komunii świętej dwa razy w ciągu dnia. Odpowiedziała Siostra, że o tym wie i nigdy tego nie robi. Ten kapłan odpowiedział: „A ja sam dawałem ci Komunię świętą dwa razy jednego dnia”.

Dusze czyścicowe często ją odwiedzały. Jak twierdziła, przyszła raz w nocy do niej pewna pani – obca – mówi Zofia Medarda, że słyszała stukanie obcasami, gdy ta dusza zmarłej osoby weszła do pokoju – usiadła na łóżku i prosiła: „Pozwól mi tu być, bo przy tobie nie cierpię” (była to dusza czyścicowa nieznanego osoby).

Ale też przychodziła inna dusza czyścicowa i to często, znana nam niedawno zmarła. Budziła ją w nocy szarpiąc kołdrę i wołała: „Madziu, Madziuchna...”. Zofia Medarda mówi, że w tym wypadku odczuwała lęk, że aż serce biło w przyspieszonym tętnie. A trwały te wizyty dłuższy okres czasu, może ½ roku czy nawet dłużej, aż do chwili, kiedy ta dusza została uwolniona z czyśćca.

Z innych wrażeń takich niecodziennych, to fakt, że Zofia-Medarda idąc ulicą czuła się nagle uniesiona trochę ponad ziemię, że gwałtownie starała się uderzać bucikami w chodnik, aby „wrócić na ziemię”.

Nieraz, może nawet wielokrotnie Anioł przynosił jej Komunię świętą w sposób dla niej

rzeczywisty i odczuwalny. Najwyraźniej przyjmowała Hostię Komunii świętej. Było to wtedy, gdy była obłożnie chora i bardzo wyczerpana.

Zofia Wyskiel leżała, nie wychodząc w ogóle z domu najmniej 20 lat, może nawet więcej. Pana Jezusa widziała wszędzie. Gdy jeszcze był zdrowa, spotykała Go na ulicy. Widziała Go tak wyraźnie jak inne osoby spotykane. O pięknie Pana Jezusa mówiła z wielkim przejęciem.

Widziała często przyszłość niektórych osób. Dla przykładu podaję: „Pewnego kapłana zobaczyła w wizji, siedzącego przy swoim biurku a na tym biurku leżała czaszka trupia. Zrozumiała, że ten kapłan nie będzie już długo żył. – Zmarł po 3 latach. –

O Janie XXIII powiedziała do mnie: „Jan XXIII nie dokończy Soboru”. Widziała nieraz naprzód zdarzenia ciekawe, które mają się spełnić.

Opisała mi raz wizję przyszłej Mszy świętej polowej na placu Wolności w Poznaniu z udziałem wojska, dygnitarzy wojskowych, także z innych narodów, ale nie umiała powiedzieć, kiedy to miało mieć miejsce.

Mimo wszystko Medarda nie lubiła wizjonerstwa i od wczesnych lat odnosiła się nieufnie do wizji. Mówiła, że wizje i wszelkie objawienia ogromnie ją męczą i chociaż dyktowała całe szerokie tematy podane przez Pana Jezusa czy Matkę Boską, czy Świętych, czyniła to z wielkim wysiłkiem, a nawet wstrętem. Mówiła: „Na tym wstręcie to wszystko buduję”. Pojmowała ten nakaz Boży jako ofiarę z jej strony. Mówiła często: „Każda łaska musi być okupiona”.

W czasie okupacji Siostra Medarda wiele osób podtrzymywała na duchu. Nawet do Dachau podyktowała słowa pocieszające dla kapłanów od Pana Jezusa, które zostały przekazane w paczce żywnościowej, na cieniutkiej bibułce spisanej i wsuniętej do kartonika z keksami. Po pewnym czasie przyszło podziękowanie od kapłanów z Dachau, którzy napisali, że „najlepsze były te keksy”.

Z treści tych słów im przekazanych pamiętam zwłaszcza jedno zdanie, w którym dusze zmarłych kapłanów w Dachau wypowiadały swój triumf nad przeżywanymi cierpieniami i mówiły, że gdyby mogły wrócić na ziemię, to tylko po to, aby jeszcze cierpieć. Tak wielka jest cena cierpienia i tak wielka czeka nagroda tych, którzy tutaj wiele cierpią.

Jedna z pań, która w czasie okupacji straciła 10-letnią córeczkę wyraziła się do mnie, że nie wie, jak by przeżyła ten cios, gdyby nie Siostra Medarda, która umiała jej wytłumaczyć celowość tego, co się stało, a do czego Bóg dopuścił.

Zofia–Medarda tłumaczyła nam, jak to Bóg obiera najkorzystniejszą chwilę dla duszy, którą zabiera do Siebie. Mówiła też, że Pan Bóg duszy nie potępia, lecz dusza sama się potępia. Bo człowiek ma daną od Boga wolną wolę i może Bogu służyć lub nie, może się zbawić lub potępić. Bóg nie chce potępienia duszy. To też potępiona jest taka, która z całą świadomością Boga odrzuca i nie chce się przed nim ukorzyć.

Stopień świętości duszy w niebie jest bardzo różny i tym samym stopień szczęśliwości w niebie, stosownie do zasług danej duszy jest różny.

„Człowiek sam z siebie jest niczym, mniej niż niczym”, dopiero pod wpływem Łaski Bożej dusza staje się piękna, zależnie od stopnia Łaski Bożej staje się piękna ponad wszelkie wyobrażenie. Ale o tę łaskę trzeba się ubiegać.

Widziała dusze w czyścicu pokutujące – jak jej to było uzmysłowione – najpierw w łachmanach i brzydkie, które przez stopniowe oczyszczanie czyścicowe stawały się coraz piękniejsze i cierpiały coraz mniej. W końcu nie cierpiały już, lecz nie były jeszcze w pełnej szczęśliwości, aż nastąpiło wejście do nieba, które jest uroczystą wielką chwilą nie tylko dla tej duszy, ale dla wszystkich świętych dusz w niebie. Każda dusza czuje się tam szczęśliwa i każda znajduje spełnienie swoich pragnień.



O czyścicu mówiła, że trwać może dla niektórych dusz zaledwie kilka minut, a dla innych może trwać nawet do końca świata. Stopień w czyścicu jest też różny. Mogą być cierpienia w takim nasileniu, że niekiedy dusza nawet nie wie, czy znajduje się w czyścicu czy w piekle.

Dusza w chwili spotkania z Bogiem zaraz po śmierci doznaje takiego olśnienia, że w jednej chwili poznaje stan swojej duszy i rozumie ile zawiniła wobec Boga. Dusza wtedy jakby sama cofa się i pragnie być oczyszczona, aby mogła stać się godna stanąć w obecności Boga. Zatem dusze czyścicowe chętnie poddają się cierpieniom oczyszczającym. A cierpienia czyścicowe są bardzo srogie i dotkliwe, głównie jako tęsknota za Bogiem.

Zofia (Medarda) o sobie mówiła, że nie zastanawia się nad tym czy długo będzie w czyścicu, bo zaufała Bogu i nie chce inaczej niż będzie chciał Bóg. Nie analizuje też stanu swojej duszy, gdyż tego zbadać tutaj nie jesteśmy zdolni. Najważniejsze, żeby zaufała Bogu i poddawać się działaniu łaski Bożej. To nie znaczy, aby Zofia Medarda nie starała się o doskonalenie swojej duszy i nie pracowała nad sobą. Opowiadała mi jak się ćwiczyła w tym, aby być opanowaną. Była z natury żywego usposobienia i musiała czuwać, żeby zachować równowagę duchową. Zdarzyło się, że w młodszych latach biegła pospiesznie po schodach. Wracała wtedy o jedno piętro w górę i powtórnie schodziła już powoli, aby nie było pośpiechu.

Ktoś zarzucił jej raz, że nie ma krytycyzmu w stosunku do ludzi, na co odpowiedziała: „Mój Boże! To ja 30 lat pracuję nad tym, żeby ludzi nie krytykować, a wy mi mówicie, że nie mam krytycyzmu!”

Oczywiście pod wieloma względami Zofia Medarda była niezrozumiana i nie mogła być zrozumiana. Jej mentalność była inna. Żyła innym życiem niż człowiek przeciętny. Słusznie mówiła, „że nie jest meldowana na ziemi”. Żyła bowiem duchem zawsze ponad ziemią. Oczywiście od tych ludzi była zależna i ludziom musiała służyć. – Czuła nakaz wewnętrzny, że nie wolno jej było kogoś nie przyjąć. Mimo, że była czasem bardzo cierpiąca. Do ostatnich chwil życia nie odmówiła nikomu.

O swoich cierpieniach mówiła otwarcie ale nigdy w sensie narzekania tak, że można powiedzieć, ludzie uważali Zofię-Medardę i jej cierpienia jako tak naturalne i konieczne, że tych cierpień prawie nie dostrzegali. A Zofia-Medarda mówiła : „Nie wiedziałam, że można aż tak bardzo cierpieć”. Ale też przeżywała chwile takiego szczęścia jakich innych nie znają. Powiedziała raz: „Przeżyłam jedną sekundę takiego szczęścia, że warto mi było cierpieć całe życie, aby przeżyć tę jedną chwilę. Mówiła nieraz o sobie: „Nawet wśród zwykłych swoich cierpień jestem najszczęśliwsza z najszczęśliwszych.”

W ostatnich latach powtarzała, że przeżywa Mękę Pańską w sposób mistyczny – zwłaszcza nocą z czwartków na piątki. Określała te przeżycia jako stygmaty chociaż dla nikogo niewidoczne.

Cierpienia te były ponad wszelką miarę i nasze pojęcia. Czuła się rozpięta na krzyżu, wyprężona na grubym, szorstkim drzewie krzyża, zupełnie jak gdyby to było rzeczywistością. Powtarzała wtedy: „Nie wiedziałam, że można aż tak cierpieć”.

Cierpiała też niedostatek, cierpiała z powodu niezrozumienia przez innych. Dostrzegano jej drobne niedoskonałości, a nie dostrzegano jej wielkich cnót. Te niedoskonałości – być może – dla Boga nie były niedoskonałościami, bo wiem, że Zofia-Medarda kierowała się zawsze całą subtelnością swojego sumienia, a że na wiele rzeczy patrzyła inaczej niż inni, to jest zrozumiałem. Szła przecież zupełnie nieprzeciętną drogą duchowego życia.

Najczęściej zarzucano jej intensywność, bo zawsze była bez pieniędzy i otwarcie o tym mówiła. To co miała, rozdawała, a często przymawiała się o nowe datki, bo zawsze miała zapotrzebowanie na kogoś biedniejszego, najczęściej, by zamawiać Msze św. za dusze

cierpiące, albo by uprosić czyjeś nawrócenie, za kapłanów itp. Szczególnie rozszerzała wśród swoich odwiedzających ją, praktykę zamawiania Mszy św. gregoriańskich, a nawet 30 Mszy św. za żyjących. Zalecała nawet zamawianie 30 Mszy św. za siebie już za życia. Twierdziła, że Msze św. za żyjących ważniejsze są, bo upraszają dla dusz nowe łaski i przyczyniają się do uświęcenia duszy, a Msze św. za zmarłych już nic duszy dodać nie mogą, jedynie zwalniają z cierpień czyśćcowych. Niemniej dusze z czyśćca upominały się często przez nią choćby o 3 Msze św., albo o gregoriańskie, czasem półgregoriańskie tj. 7 Mszy św. przez 7 kolejnych dni.

Gdy raz spytałam czy mam komuś pomóc materialnie, odpowiedziała: „Dawaj, dawaj, im więcej będziesz dawać, tym więcej będziesz miała” i mówi: „Ja tysiące rozdałam”. Spytałam wtedy jak ona to pojmuje skoro nie dysponuje własnymi pieniędzmi? Na to odpowiedziała: „Wszystko jedno, ale musiałam się postarać”. Być może, to „postaranie kosztowało ją dużo zaparcia się siebie – ale też pomyślałam, że gdyby nie miała tego daru upraszania zasiłków pieniężnych, nie byłaby swego czasu wybudowała klasztoru.

Do jej cnót natomiast, często przez innych niezauważonych, należały przede wszystkim niespotykana prostota, szczerłość i pokora, gotowość na cierpienie dla ratowania dusz, mało dobrowolne ofiarowanie się za cierpienia dla Boga, ofiarność, szczerą miłość bliźniego, niespotykana życzliwość i miłość dla bliźnich. Zawsze zrównoważona, pogodna, poddana woli Bożej. To też każdy, kto do niej przychodził doznawał pociechy, wychodził uspokojony w swoich troskach. Pamięć miała doskonałą i nie zapomniała w swoich modlitwach o intencjach jej powierzonych. A – jak mówiła – całą pociechą dla niej jest, gdy w swoich modlitwach bywa wysłuchaną.

Szczególnie miała na uwadze modlitwę za kapłanów, bo – jak twierdziła – od kapłanów zależne jest ODRODZENIE Kościoła. Posoborowe zmiany w Kościele uważała za dobre. Mówi: „Dawniej ludzie do kościoła przyszli i poszli, a obecnie biorą żywy udział w nabożeństwach i Mszy św.

Ojca świętego Pawła VI uważała za bardziej jeszcze świętego niż Jana XXIII, nie ujmując zresztą Janowi XXIII.

Zofia – Medarda przykładła wagę do najmniejszych spraw, a wszystko przeżywała w duchu ewangelicznym. Owe ewangeliczne wróble np. pielęgnowała za swoim oknem, a gołębie – jak symbol Ducha Świętego – gromadą zbierały się również na drabince za oknem. Starła się Siostra o to, aby zawsze było dla nich w domu pożywienie i w tym celu kupowała dla nich ziarno i groch. W Popielec przypominała, aby jej przynieść z kościoła święcony popiół, z Częstochowy prosiła o wodę święconą. Prosiła mnie, abym jadąc do Częstochowy pojechała także w jej intencji, jakby z nią. Mówiła: „W Częstochowie Matka Boska jest żywa”.

O Matce Boskiej w swoich wizjach wyrażała się jako o Matce Boskiej Mocarnej: „Taka dziewicza, a taka mocarna”.

Gdy np. zabroniono przenieść obraz Matki Bożej w procesji ulicami mówiła, że Pan Jezus o to się upomni, bo nie pozwoli, aby Jego matka była lekceważona. Pan Jezus stanie w obronie Swojej Matki.

Z datków kupowała kwiaty dla Matki Boskiej i dla Pana Jezusa, gdy miał przyjść do niej w Najświętszym Sakramencie. Mówiła wtedy: „Przyjdzie do mnie Pan Jezus” albo „Był dziś Pan Jezus” – a nie, jak to ogólnie się mówi: „Ksiądz z Panem Jezusem”.

Wyjaśniała, że obrazy Matki Boskiej najczęściej nie są piękne, a nawet brzydkie, bo chodzi o to abyśmy czcili w nich samą Matkę Boską a nie dzieło sztuki.

W tymże duchu zapewniała, że nasze dobre uczynki większą mają wartość, gdy nie są uznawane przez innych, a nawet, gdy się spotykamy z niewdzięcznością. Dobrze jest dla nas,

gdy nie znajdujemy uznania.

Ludzie złośliwi, którzy nam uprzykrzają życie przyczyniają się do naszego uświęcenia. Na ogół sąd jej o ludziach był często inny niżby należało się spodziewać. Brała pod uwagę tajemki duszy, np. żal w duchu pokory jaki dusza wzbudzała po każdym swoim uchybieniu. Największą oczywiste przeszkodą dla dobra duszy jest pycha, zadowolenie z siebie.

Nie rozróżniała dusz żyjących i dusz zmarłych jako duszę – bez różnicy. Dlatego nie chciała wyjaśniać nikomu, czy dany człowiek żyje czy nie, gdy np. po wojnie zwrócono się do niej z zapytaniem o osoby zaginione.

Uważała, że należy też dbać o ciało, ze względu na to, że ono zmartwychwstanie. Bo ciało też ma swoją wartość. Nie wiem, czy to dobrze wyraziłam, mówiła, że nie można pogardzać ciałem, lecz je szanować, ponieważ to ciało zmartwychwstanie i stanie przed Bogiem.

Była przeciwna wszelkim umartwieniom, bo mówiła, że bardzo łatwo wtedy przyłącza się miłość własna. Duszy wydaje się, że czyni dla Boga coś wielkiego, a nie zawsze tak jest.

Nieraz mówiła: „Miłość własna umiera w człowieku dopiero 5 minut po jego śmierci”. „Każdy musi walczyć z miłością własną.”

Miała szczególny dar, by w prostych słowach obrazowo przedstawić stan duszy – czy to żyjących, czy umarłych. Np. „To jest kapłan we fraku”, albo: „Ten nie jest z mojej owczarni” (według słów Pana Jezusa) o kapłanie, który przeszedł do kościoła narodowego. „Ten jest syn mój miły, w którym nie ma zdrady” – też o kapłanie.

Zofia Wyskiel mówiła zawsze spokojnie, jakby obojętnie o wszystkim, tzn. bez wszelkiej afektacji, bez egzaltacji.

Spytałam ją – pod koniec życia – czy mam po jej śmierci bronić jej spraw, gdy spotkam się z zarzutami przeciwko niej i jej objawieniom. Powiedziała: „Nic nie mów – kamienie wołać będą”. A czy mówić o niektórych cudach, o których wiedziałam z jej opowiadań? Także zaprzeczyła: „Nie potrzeba, sami przyjdą i powiedzą”. Ale kiedy indziej mówiła do mnie: „Musisz żyć dłużej niż ja, bo możesz o mnie świadczyć.”

Ludzi pocieszała w ich cierpieniach, wskazując na doniosłość cierpienia – że cierpienie więcej jeszcze znaczy niż modlitwa, co nie przeszkadzało, że powtarzała często: „Modlitwa to potęga!”

Sama upraszała tyle, że można powiedzieć: „Pan Jezus nie odmawiał jej niczego”. Doświadczałam tego niezliczone razy, gdy powierzałam jej różne troski, nie tylko osobiste, ale bardzo często innych. Gdy byłam chora, pocieszała mnie: „Stopniowo odzyskasz zdrowie” – i tak też było.

Prosiłam raz, by pomodliła się za znajomą mi maturzystkę, by pomyślnie zdała ostatnie egzaminy. Odpowiedziała mi Zofia-Medarda najpierw: „Ona nie złoży, bo nie jest uzdolniona, a poza tym na to nie zasługuje.” A ja mówię: „Ale jeżeli teraz się pomodlisz, to też nie złoży? Na to Zofia zaczęła się głośno modlić, wzywając Ducha Świętego, św. Jana Kantego, św. Józefa, św. Judę Tadeusza, św. Antoniego – i wreszcie spytałam: „A teraz złoży? Na co odpowiedziała: „Chyba złoży.” Rzeczywiście matura ta wypadła pozytywnie.

W swojej ostatniej chorobie mówiła: „Nie dziwcie się mojej niecierpliwości, bo ja za bardzo cierpię”.

Zapowiedziała już w ostatnim roku życia, że po Mece chrystusowej przeżywać teraz będzie jego konanie. Rzeczywiście to konanie jej powtarzało się co pewien czas i znowu wracała do normy, ale powtarzało się, jeśli się nie mylę – 2 razy – aż ostatecznie naprawdę skołała.

Zapewniała mnie dawniej, z jej wieku około 70 lat, że nigdy nie miała pokus przeciw czystości, ale, że jeszcze ich dozna przed śmiercią i pokus przeciwko wierze. Czy tak potem było – nie wiem.

Życzyłam jej w dniu imienin, żeby tak bardzo nie cierpiała. Odpowiedziała mi żywo: „O – ja muszę cierpieć!”

Albo przy innej okazji: „Jeszcze muszę żyć, bo za mało cierpiałam.” Często była porwana miłością Bożą, że chciałaby wybiec na ulicę i wołać: „Ludzie czemu nie kochacie Boga?!”

Gdy ja ludzie krytykowali, mówiła: „Cieszę się, że sadzić mnie będzie Bóg!”

Każdemu mówiła śmiało, to co trzeba i dodawała: „Kto nie chce słyszeć prawdy, niech do mnie nie przychodzi.”

Z jej najśmielszych wypowiedzi było zdanie: „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się Bogiem”. Tłumaczyła ten fakt przez zjednoczenie z Bogiem, abyśmy się stali jedno.

W wypowiedziach Medardy nie było sprzeczności. Raz wypowiedziane zdanie o duszy potwierdzało się w pewnych jej wypowiedziach po dłuższym czasie, czy to o żyjących czy o zmarłych. Tłumaczyła nam, że to co słyszy jest w jej jaźni, a nie w umyśle, dlatego nie pamiętała, co powiedziała kiedyś. Gdy jej raz przeczytałam ustęp z jej podyktowanych tematów, była zadziwiona „jakie piękne”, a przecież nie pamiętała, że niedawno każde słowo sama dyktowała. Było tych tematów dużo:

1. Siedem słów na krzyżu
2. Śpiewana dziewica
3. Ojciec nasz...
4. O piekle
5. O czyścicu
6. O niebie
7. Dla kapłanów
8. Skrót do świętości
9. Anioł Pański i inne

Tematy te siostra zaczęła dyktować już przed II wojną światową na polecenie swego ówczesnego spowiednika i kierownika duszy – ks. Aleksandra Żychlińskiego.

Po wojnie zostały one rozesłane na Misje i czytane są - można powiedzieć – we wszystkich krajach. Podobno nawet w niektórych wyszły w druku, w Belgii zabiegano o imprimatur.

Nie widziałam tego, powtarzam tylko, co na ten temat słyszałam.

Sama o sobie mówiła Zofia-Medarda: „Dziwny ze mnie człowiek”, a tak chciała być zwyczajna jak inni.

Muzyki słuchała chętnie, ale bez szczególnego znanstwa i oceniała ją od strony wykonania w sensie duchowym.

Oprócz tego, że – jak już wspomniałam – ofiarowała się na cierpienia za kapłanów i ofiarę tę do końca życia ponawiała, ofiarowała się też za niegodne matki.

Ofiara za kapłanów została przyjęta w ten sposób, że przez – zdaje się - 47 lat cierpiała krwotoki z nosa, czasem tak gwałtowne, że traciła przytomność. Były częste, w niektórych okresach codzienne.

Druga ofiara za nienarodzone dzieci w inny sposób została przyjęta. Miałła latami całymi guz poniżej pasa, wielkości głowy dziecka, który jej dolegał, że nawet nie mogła leżeć swobodnie, ani się pochylić i twierdziła, że tak jej to zawadza jak matkom, które przezywają ciążę. A w tych wszystkich cierpieniach wołała do boga o Miłosierdzie dla dusz, dla świata. Mówiła: „Cierpienie z miłości ma większą wartość niż cierpienie z przymusu”. „Prośba za drugich jest łatwiej wysłuchana, bo jest bezinteresowna.”

Dawała nieraz wskazówki symboliczne według słów usłyszanych od Pana Jezusa: np. „Niech się obmyje w sadzawce Siloe (tzn. spowiedź) albo: „Pragnę z nim spożyć Paschę” (tzn.

Komunię św.)

Zwykle na prośbę czyjaś natychmiast modliła się głośno. Wyczuwało się w tym ducha posłuszeństwa w stosunku do proszącej osoby. A bywało u niej wiele osób właśnie z prośbą o modlitwę, nieraz do 20 osób dziennie. Później mniej. Gdy była w ostatnich latach już bardzo słaba, coraz mniej było tych odwiedzających.

Przeważnie zachęcała ludzi do zamawiania mszy św. w intencjach, na których im zależało.

Uważała, że Msza św., z chwilą gdy jest zamówiona, już odnosi swój skutek. Do mnie wyraziła się też, że nie jest to obojętne, który kapłan odprawia mszę św., bo modlitwa kapłana świątobliwego we Mszy św., powiększa łaski z tej Mszy św.

O sobie mówiła też: „Modli mogę się zawsze nawet w największych cierpieniach.” Gdy czuła się jeszcze na tyle na siłach, wstawiała w nocy i na kocu położonym na podłodze leżała krzyżem nieraz 2-3 godziny i to każdej nocy, aby upraszać łaski i wtedy mogła się modlić szczególnie żarliwie. O tym wiem oczywiście z jej opowiadania.

W czasie okupacji Siostra zwracała nam uwagę na to, że front rozmieszczony jest w kształcie krzyża, co też mogliśmy stwierdzić na mapie. Samoloty mają kształt krzyża, swastyka to krzyż połamany, - jednym słowem, wojna ta była między Bogiem i szatanem, święty Michała walczył z hasłem „Któż jak Bóg!”

Oczywiście i szatan mieszał się i usiłował przeszkadzać w działalności Siostry Zofii-Medardy. Kiedyś siedział na podłodze, jak mówiła – potwornie brzydki i powtarzał ironicznie: „Ofiaruj się, ofiaruj się, tam nic nie ma.” A Zofia Wyskiel odpowiedziała „Wynoś się!” Częściej ją nawiedzał i przeszkadzał, ale Zofia-Medarda nie bała się go wcale i zawsze zlekceważyła.

Zofia-Medarda twierdziła, że każda chwila życia ma swoją wartość, a nawet każda sekunda, choćby ze względu na samo cierpienie. A więc długie życie trzeba sobie cenić. – Jeżeli Bóg zabiera duszę w młodym wieku, to ma w tym szczególne cele, czasem dla tej duszy, ponieważ (jak już wspomniałam) nie uświęciłaby się w dalszym życiu, czasem jako ofiarę za innych, za otoczenie, które po stracie drogiej im osoby zbliża się do Boga, lub dla innych celów Bogu tylko wiadomych.

Modlitwy, tzn. jej formy nie można nikomu narzucić, bo modlitwą kieruje Bóg i każda dusza inaczej się modli, bo każda jest inna,

Obecne czasy są bardzo złe: gorzej jest niż było przed potopem. Toteż przyjdą kataklizmy ku napomnieniu ludzkości. Mówiła Siostra: „Ofiaruję się też na kataklizmy, które i tak będą, ale bez mojej ofiary byłyby o wiele większe” Nie tylko rzeki wyleją, ale i morze wyleje”.

Gdy kilkanaście lat temu światu groziła wojna, kiedy to statki wojenne płynęły już na Kubę, twierdziła stanowczo, że wojny nie będzie. Ktoś jej na to odpowiedział: „Jak to? Przecież okręty już płyną na Kubę”, na co Zofia-Medarda: „Tak, płyną ale staną.”

Przed zamieszkami u nas na Wybrzeżu chyba pół roku przedtem, zapowiadała, że u nas w kraju będzie wojna, chociaż nie umiała na ten temat powiedzieć nic bliższego.

O. Pio zapowiedział podobno, że umrze ona, gdy skończy 80 lat życia. Słyszałam o tym od innych, do mnie tego nie mówiła.

Mówiła mi natomiast, że o. Pio był u niej jednego razu – już po jego śmierci – i wiele jej mówił o niej samej i dla niej, ale nie chciała mi tych jego słów powtórzyć. Spytałam tylko czy mówił dobrze czy źle, na co tylko uśmiechnęła się i powiedziała: „Naturalnie dobrze.”

Opowiadała mi jedna z pań, że wchodząc raz do pokoju Zofii-Medardy, powiedziała na powitanie prawie bezwiednie, że sama była zaskoczona własnymi słowami: „Niech będzie uwielbiony Bóg w swoich Aniołach i swoich Świętych”.

Bywali u Siostry przeważnie ludzie głęboko wierzący. Przychodzili niektórzy raz i nie więcej,

byli tacy, którzy stale utrzymywali z nią kontakt ze względu na wskazówki dla życia wewnętrznego. Inni, którzy przyszli pierwszy raz, byli nieufni, i chociaż ją przedtem krytykowali na podstawie tego co o niej słyszeli, przy osobistym zapoznaniu zmienili zdania na korzyść Zofii-Medardy.

Ale byli i tacy, którzy przychodzili z ciekawości albo, by ją wypróbować. Przyszedł jednego razu młody człowiek i zameldował się, że przychodzi z UB, aby zrobić z nią wywiad. – Zofia-Medarda miała wtedy jeszcze oczy zdrowe, przyjrzała mu się i mówi: „Panie! Pan jest z UB? – Pan jest bratem (tu wymieniła nazwisko), który tu u mnie czasem bywa”. Na to pan ją przeprosił i przyznał, że chciał tylko przekonać się czy ona zorientuje się w tym podstępnie.

Odwiedził ją też pewnego razu ks. Sopoćko z Krakowa, były spowiednik Siostry Faustyny, który chciał poznać siostrę Medardę osobiście, by przekonać się, co Zofia Wyskiel mówi o Miłosierdziu Bożym. Po dłuższej z nią rozmowie orzekł, że to co Siostra głosi jest po prostu ciągiem dalszym objawień siostry Faustyny. Powtarzała mi to sama Zofia Wyskiel.

Siostra Medarda głosiła Miłosierdzie Boże i modliła się głównie o zatwierdzenie świętego Miłosierdzia Bożego, o które upominał się przez nią Pan Jezus, a które ma być wyznaczone na I niedzielę po Wielkiejnocy.

W tym też dniu tj. w I niedzielę po Wielkiejnocy przychodził do niej Pan Jezus – widziała Go żywego, przychodził wcześniej rano, przepiękny, rozmawiał z nią i widziała jak potem chodził do innych domów, także do niektórych kościołów, zwłaszcza tych gdzie był czczony OBRAZ MIŁOSIERDZIA BOŻEGO, do Ojca świętego, wszędzie błogosławił i udzielał Swoich hojnych łask.

Każde takie odwiedziny były oczywiście wyróżnieniem dla danej duszy. Więc bywało, że będąc np. w jednym domu, odwiedził jedna z dusz tam zamieszkałych, a drugiej nie.

W ten sposób spędziła Siostra cały ten dzień z Panem Jezusem i miała nam potem wiele do powiedzenia. Ale trudno spamiętać to wszystko.

Chyba są jakieś notatki z tych dni, ale nie wiem komu je podyktowała. Wiele z jej wypowiedzi w ogóle dziś nie pamiętam, ale przytoczę jeszcze kilka zdań, zwłaszcza na temat dusz zmarłych.

„Nigdy nie wiemy jaki jest w ostatniej chwili życia proces między duszą a Bogiem, toteż nigdy nie można zwątpić czy dusza jest zbawiona, choćby nawet nie przyjęła Sakramentów świętych w godzinie śmierci.”

O jednej z takich właśnie dusz orzekła: „Wzbudził żal doskonały przed śmiercią i jest zbawiony.”

O innej: „Dusza ta była bardzo serdeczna i to jej zaliczono – jest zbawiona.” (Zgadzało się, że ta dusza była serdeczna.)

„A ten otrzymał wielkie łaski za gorliwe odmawianie Różańca świętego (co się też potwierdziło) i jest już w niebie.”

„Ten miał wielką łaskę, bo umarł w obecności Najświętszego Sakramentu” (zgadzało się, ten człowiek zmarł nagle, prowadząc pod baldachimem kapłana w czasie procesji z najświętszym sakramentem. Kapłan pobłogosławił umierającego Najświętszym Sakramentem.)

„Ten chłopiec ma nagrodę w niebie za walkę z ciężkimi pokusami przeciw czystości”.

„A te dusze muszą w czyścicu ciągle powtarzać „Wierzę w Boga...” ponieważ za życia miały słabą wiarę.”

„Ta dusza opuściła męża na ziemi dlatego teraz (w czyścicu) musi ciągle chodzić za swoim mężem, jakoby ciągle go szukała.”

O innej: „Doznała szoku stanąwszy przed Bogiem, gdy zrozumiała, że jej życie było omyłką.

Pokutuje głównie za niereligijne wychowanie synów.”

Bardzo ciężko i długo pokutują dusze za cywilne związki małżeńskie bez ślubu kościelnego.

Pierwsza dusza zwróciła się do Zofii Wyskiel o pomoc dopiero 5 lat po swojej śmierci, wcześniej nie było jej dane.

Po pogrzebie zwraca się dusza do tych, którzy rozpaczają, lecz do dusz, choćby dla nich obcych, ale pobożnych, które za nią się modlą: u nich szukają pociechy.

Zofia Wyskiel mówi, że do Chwili pogrzebu dusza znajduje się przy swoim ciele, a modlitwy pogrzebowe przynoszą jej wielką ulgę. Po pogrzebie dopiero dusza idzie na miejsce swojego przeznaczenia.

Prawie każda dusza przechodzi przez czyściec, lecz były też dusze spośród moich znajomych, o których Zofia Wyskiel wypowiadała swoje zapewnienie, że poszły prosto do nieba. Ale były to wyjątki.

„Ofiary nie idą do czyścca.” Tak powiedziała o pewnej znajomej, o której wiem, że ofiarowała swoje życie Matce Boskiej w pewnej intencji, a zmarła w kilka tygodni po złożeniu tej ofiary.

O innej: „Zaliczono jej to, że była dobra dla drugiego męża, chociaż nieślubnego.”

„Dobre uczynki ją zbawiły.” Albo: „Jest dobrze osadzona za dobre uczynki.”

Bywało, że Zofia duszy, o którą pytano nie mogła „znaleźć”. Miała wtedy wątpliwości, czy ta dusza jest zbawiona. Ale nigdy i o żadnej nie twierdziła tego z pewnością.

Dusza, o której pytano, ukazywały się natychmiast, o ile zmarły w ostatnich latach, bo dawniej musiała je czasem długo „szukać”.

O niektórych duszach mówiła, czy długo będą w czyścću. O pewnej duszy np., że w jakieś bliskie święto będzie uwolniona. W to bliskie święto (to był grudzień) tj. w Boże narodzenie dusza ta była wolna.

Radziła ofiarować swoje cierpienia za zmarłych, również dobre uczynki, a nade wszystko zamawiać Msze święte. Zofia uważała dobre uczynki za wielce zbawienne, a także i wszelkie praktyki religijne. Natomiast za największe zło uważała chciwość.

O pewnej znajomej mojej, która tuż przed śmiercią nie przyjęła kapłana z sakramentami św., a którego przywołano, orzekła Zofia, że przez głupotę swoją odrzuciła Sakramenty święte, będzie długo w czyścću, ale będzie zbawiona.

Zofia-Medarda powtarzała, jak niezgłębione jest Miłosierdzie Boże, tego człowiek zrozumieć nie może. Jak wielka jest Miłość Boga do ludzi, tego my pojąć nie jesteśmy zdolni.

Trzeba pamiętać, że Zofia-Medarda głosiła Miłosierdzie Boże, więc zwłaszcza z tego aspektu rozpatrywała sprawy i takie przykłady podawała.

Ale kto za bardzo pochłonięty jest sprawami ziemskimi, ten nie jest Bogu miły.

O św. Tereni mówiła, że była ona większą świętą na ziemi niż niejeden święty w niebie.

Mówiła także, że jest w niebie bardzo wiele dusz świętych, które tu na ziemi nie były beatyfikowane. Ale o tych beatyfikowanych mówiła, że niektóre musiały przejść przez czyściec, bo chociaż miały wielkie łaski Boże, dla których mogły być nawet kanonizowane, lecz mogły mieć jeszcze swoje niedoskonałości, które wymagały oczyszczenia czyścćowego.

O sobie mówiła, że nie będzie nigdy beatyfikowana.

O pewnej duszy spośród żyjących mówiła: „Jest to dusza wyjątkowo uprzywilejowana.”

O pewnym moim znajomym: „Powinien iść do klasztoru.” (Ten pan wyznał mi później, że ma zamiar wstąpić do klasztoru, ale obecnie nie może, bo ma na utrzymaniu starsuszków – rodziców.)

Pewnej pani Zofia-Medarda zarzuciła: „Pani nie modli się do św. Józefa. „Najważniejsza jest dobroć, modlitwa i wierność Bogu.”

„Nie filozofować, lepsza jest ślepa wiara!”

„Dlatego prosta służąca ma więcej zrozumienia dla spraw Bożych, niż niejeden człowiek wykształcony.” Wszakże wykształcenie nie jest przeszkodą, by zgłębić poznanie Boga – jest raczej pomocą.

Gdy nie można ludziom mówić o Bogu, trzeba mówić Bogu o ludziach.

Winni jesteśmy posłuszeństwo Kościołowi, zalecała też wielce posłuszeństwo swojemu spowiednikowi.

W sprawach, których nie umiała rozstrzygnąć, mówiła: „Spytaj księdza.”

Czasem jej odpowiedzi dla pytających były najbardziej nieoczekiwane.

Często sama w swej odpowiedzi od Pana Jezusa nie wiedziała jak ją rozumieć, ale rozumiał ten, który pytał.

Jedno nasze „Kocham Cię” zwrócone do Pana Jezusa, to już jest Komunia św. duchowa.

Święto Miłosierdzia Bożego według zdania Zofii Wyskiel zostanie zatwierdzone dopiero po beatyfikacji Siostry Faustyny.

Arystokracja ma teraz większe łaski u Boga ponieważ nie jest szanowana na ziemi.

O pewnym bogatym krewnym twierdziła, że bardzo zbliżył się do Boga z chwilą, gdy w czasie okupacji stracił swój majątek. To go zbawiło.

Jeszcze kilka uwag oderwanych! Opowiedziała mi Siostra Medarda, jak jednego razu jadąc tramwajem wpadła w zachwyty na temat „Jam jest który jest”, że zapomniała o świecie i zamiast przesiąść do innego tramwaju zajęła „przed sam pałac biskupi „ na Śródcie, skąd miała potem daleką drogę pieszo do św. Rocha, gdzie znajdował się klasztor, w którym mieszkała.

W kościele Farnym, chyba też w okresie okupacji Pan Jezus nałożył jej koronę na głowę. Do tego stopnia miała wrażenie rzeczywistości, że szła powolutku i ostrożnie, aby jej ta korona z głowy nie spadła.

A u Franciszkanów zauważyła Zofia-Medarda pewnego razu, że wszyscy tam ludzie są w stanie łaski. Zdziwiłam się „Czy wszyscy?”, a wytłumaczyła mi, że jest 2 sierpnia, kiedy ludzie tu są po spowiedzi, aby uzyskać odpust, więc jest to możliwe.

Mówiła kiedy indziej, że dusza odchodząca od konfesjonału jest tak piękna, że chciałaby ją adorować, że człowiek po przyjęciu Komunii św. jest tak przebóstwiony, że adoruje ona Boga w tej duszy. Ale nie każda dusza w równym stopniu jest uświęcona.

Przed kościołem Zofia-Medarda wspierała każdego żebrzącego z tego, co niewiele posiadała.

Największa dla niej przykrością było, gdy niekiedy niechcący kogoś uraziła. We wszystkich jej posunięciach wyczuwało się tę szczerą miłość bliźniego.

Wchodząc do domu, w którym mieszkam, usłyszała słowo „Salve” – dopiero wtedy zauważyłam, że nad bramą w murze jest napis „Salve”. Była zdania, że trzeba dbać o estetyczny wygląd. Mówiła: „Oblubienica Chrystusa musi ładnie wyglądać”.

O pewnej chorej mojej znajomej, która przez wiele lat leżała obłożnie chora i obezwładniona tłumaczyła Zofia-Medarda, że cierpi ona z tych, którzy chodzą złymi drogami. Bóg obrał ją sobie jako ofiarę – dlatego nie mogła chodzić.

Pewnego razu zaprosiła do siebie pewną znajomą sobie studentkę i równocześnie znajomego młodzieńca na tę samą godzinę. A gdy przyszli, powiedział im bez wstępu: „Zapoznajcie się, bo wy będziecie małżeństwem.” Ci młodzi byli zaskoczeni takim oświadczeniem. Po jakimś czasie bliższego poznania rzeczywiście się pobrali i są - jak słyszałam po śmierci Zofii-Medardy - bardzo szczęśliwi. Podobna historia, gdy raz w czasie okupacji Siostra mnie odwiedziła.

Właśnie miała Siostra wychodzić, gdy nadeszła do mnie taka para: Włodek i Marysia. Siostra Medarda witając się spytała – czy to rodzeństwo? „Nie” – była odpowiedź, a czy narzeczeni?



„Też nie”. Wtedy Siostra spojrzała na Marysię i przemówiła do niej mniej więcej w te słowa: „Proszę pani! Pani sobie lekceważy uczucia tego pana – a on na to zasługuje. To bardzo prawy chłopiec. On panią kocha, a pani sobie z niego żartuje. Niechże się pani dobrze zastanowi!” itd. Po czym pobłogosławiła obydwój, pocałowała i Marysię i Władzia w czoło i odeszła. Odprowadziłam Siostrę do drzwi wyjściowych. Wróciłam do pokoju, a tych dwoje po prostu zaniemówiło. Władek siedział z opuszczoną głową, Marysia pierwsza przysła do przytomności i mówi, że to przecież coś niesamowitego i czy ja tej pani (Siostra była w stroju cywilnym) coś o nich przedtem wspominałam? Jakże mogłam coś mówić, skoro nie wiedziałam, że do mnie przyjdziecie!”.

Było to pod koniec okupacji i tych dwoje młodych straciłam z oczu. Po 10-ciu latach: mniej więcej spotkałam owa Marysię z dwiema dziewczynkami – jak się okazało – córeczkami w Szczecinie na ulicy. Ucieszona tym spotkaniem opowiedziała mi teraz, jak to wówczas słowa Medardy ją wstrząsnęły, jak zaczęła obserwować Władka, by go poznać bliżej, aż zdecydowała się wyjść za niego za mąż i jak bardzo jest szczęśliwa. „Nie mogłabym mieć lepszego męża, jest dla mnie wzorem jak należy postępować w życiu” – dodała.

Pewnego razu, będąc u Zofii Wyskiel, gdy odchodziłam wspomniałam, że idę teraz pieszo do domu, bo nie mam nawet na tramwaj. Siostra zaproponowała mi 2 zł. ale powiedziałam: „Od Ciebie nie przyjmę”. Lecz ona nalegała, mówiąc: „Niech mi Pan Jezus za to da 1000 zł., których potrzebuję”. Wobec tego przyjąłam, ale nie pojechałam tramwajem a kupiłam sobie za to pomidorów na kolację. I tak wracając pieszo, spotkałam po drodze znajomego, który też znał Zofię-Medardę i – witając się ze mną spytał, czy nie zobaczę się z Zofią-Medardą, bo chciałby przekazać przeze mnie dla niej 1000 zł., które od dawna dla niej przeznaczył, a nie ma czasu, by do niej zajść. (W owych czasach pookupacyjnych 1000 zł nie było tak wiele, bo było to chyba krótko przed przeliczeniem 1000zł na 30 zł). Pieniądze przyjąłam i wróciłam, ażeby jej to wręczyć.

Zofia-Medarda była wówczas pod silnym wrażeniem, aż jej się włosy zjeżyły na głowie (jej słowa), bo to wyraźny cud. Ofiarodawca 1000 zł chciał w ten sposób okazać Zofii Wyskiel swoją wdzięczność za modlitwę, gdy był w wielkim niebezpieczeństwie życia po ciężkim wypadku samochodowym. Pamiętam wtedy jak idąc z Zofią-Medardą, na ulicy spotkaliśmy żonę tego pana, która z płaczem opowiedziała nam o tej tragedii i że stan męża jest beznadziejny. Siostra ją pocieszała i zapewniała, że mąż nie umrze, a wyleczony będzie przez cudowny medalik. Później dowiedzieliśmy się, że gdy żona tego dnia odwiedziła chorego w szpitalu zauważyła, że ma on przypięty do bielizny cudowny medalik, który – jak się okazało – umieściły Siostry szpitalne.

Lekarze w pierwszych trzech dniach nie zajmowali się chorym, uważając wszelkie leczenie jako bezcelowe. Lecz gdy niespodziewanie po trzech dniach pacjent jeszcze żył, zdecydowali się go zoperować. Chory leżał w szpitalu pół roku i wyzdrowiał zupełnie. Pracował normalnie i żył jeszcze wiele lat.

To jeden z niezwykłych przykładów, które pamiętam dokładnie, więc go podaję.

Przyszedł pewnego razu do Zofii Wyskiel pewien pan, zdaje się, inżynier, którego Ona będzie już niewidomą – przywitała słowami – zanim ten zdążył się przedstawić i przywitać – „Pan powinien iść na teologię”. Ten pan odpowiedział, że właśnie przychodzi do niej po radę, bo chciałby w jakiś sposób służyć Bogu i nie wie czy ma zostać kościelnym czy nawet kapłanem. Ale mówi – zawód ma inny. Zofia radziła porzucić dotychczasowy zawód i zostać kapłanem. Jak się potem stało – nie wiem.

O innych, starszym małżeństwie, bardzo pobożnych mówiła, że będą jeszcze żyć, bo „mają

wiele jeszcze do działania”.

O innej duszy: „Musi jeszcze wiele zbawić dusz” (przez dalsze życie, modlitwy i cierpienia).

W swojej pokorze mówiła modląc się do Boga: „Jeżeli nie możesz wysłuchać mnie, wysłuchaj Inkę”.

Gdy planowałam w pewnym okresie wyjazd z Poznania na stałe zaprotestowała stanowczo mówiąc: „Pan Jezus powiedziałby Quo vadis?” Ze swoimi współlokatorami miała kiedyś przykrość i nieporozumienie. Ponieważ nie dopuszczała nigdy do niezgody, przy najbliższej okazji starała się sprawę załagodzić pomimo, że nic przeciw nim nie zawiniła. W najbliższe Święta więc wstała z łóżka (wtedy już obłożnie chora) ubrała się w porannik i poszła tym ludziom złożyć życzenia świąteczne, po czym oczywiście znów zapanowała harmonia.

Jednego razu w czasie okupacji, będąc u mnie, zauważyła wyjętą właśnie szuflady fotografię mojego dawno zmarłego Ojca, przerwała nasza rozmowę i mówi: „Poczekaj, bo to twój ojciec i chce coś powiedzieć: mrugnął na mnie okiem z tej fotografii”. Prosił nas o modlitwę za swego brata niedawno zmarłego, a ostatniego z licznego rodzeństwa. Mówił: „Jesteśmy tu wszyscy razem oprócz Aleksandra”.

Po pewnym czasie ojciec mój ukazał się Zofii i powiedział: „Aleksander jest już z nami”.

Był pewien okres, że Zofia-Medarda miała szczególną łączność z Dzieciątkiem Jezus. Gdy bardzo cierpiała, Dzieciątko ją pocieszało, pieszczotliwie się do niej odnosząc i z figlarną minką szepcząc jej coś do ucha.

Raz, wśród cierpień niezamierzonych, nocą, zauważyła Zofia w pewnym momencie: „Chryste! Gdzie Ty jesteś?!” – „Tu jestem!” – usłyszała głośno, wyraźną odpowiedź Pana Jezusa – tuż przy łóżku.

Było to dla niej potwierdzeniem, że Bóg wie o jej cierpieniach i chce, aby cierpiała.

Tak więc oto Bóg umożliwił jej przetrwanie tych wielkich cierpień, o których sama wyrażała się, że dochodzą do zenitu.

Przez wiele lat najbardziej dolegała jej ischias (rwa kulszowa).

Opowiedziała mi też jak próbowała w długich rozmowach nawrócić pewną duszę, ale bezskutecznie. Az w końcu zniecierpliwiona, powiedziała temu panu: „Nie będzie dziury w niebie, gdy pana tam zabraknie” – Dopiero te słowa podziały i nawrócił się.

Inny, przyszedłszy zastrzegając się na wstępie, że jest ateistą i nigdy do spowiedzi nie pójdzie, ale przyszedł aby ją poznać. Po dłuższej rozmowie skruszył się, prosił Siostrę Medardę o błogosławieństwo, a po trzech tygodniach nadeszła wiadomość, że odbył szczerą spowiedź z całego życia.

Słyszałam o wielu podobnych nawróceniach.

Dla biednych miała Zofia-Medarda tyle współczucia, że jakiegoś schorowanego żebrak, który nie miał się gdzie podziać, przenocowała przez szereg nocy w swoim pokoju na kanapce.

Mówiłam do niej, że nie mając kontaktu ze światem, nawet nie wie co się w świecie dzieje (miałam na myśli obecną demoralizację). Na to Zofia odpowiedziała: „Ja wiem, ja to wszystko widzę, dlatego ciągle na nowo ofiarowuję się na cierpienia”.

Ostatni raz widziałam Zofię-Medardę w niedzielę 13 maja 1973 r. Była bardzo słaba, że zaledwie mogła mówić. Nie przypuszczałam, że bliski jest jej koniec, bo w tak ciężkim stanie widziałam ją już częściej.

Zofia-Medarda Wyskiel zmarła w środę, 16 maja 1973 r. w godzinach przedpołudniowych. Nikt w tym momencie przy niej nie był – zgodnie z jej życzeniem – bo mówiła do mnie nieraz, że chciałaby być sama w godzinie śmierci, aby nikt jej nie przeszkadzał w tej wielkiej chwili spotkania z Bogiem.

## Świadczenie prof. Janiny Thomasówny o śp. Siostrze Medardzie (Zofii Wyskiel)

Wpisany przez prof. Janina Thomasówna

wtorek, 01 listopada 2011 23:17 - Zmieniony poniedziałek, 07 listopada 2011 22:30

---

Pogrzeb odbył się w sobotę 19 maja przy najpiękniejszej pogodzie, w pierwszym i ciepłym dniu wiosennym. Pochowana jest na cmentarzu sołackim, bo tak sobie życzyła. Ubrano ją do trumny w białą suknię, też stosownie do jej życzenia.

W pogrzebie uczestniczyło ośmiu kapłanów, kilka Sióstr zakonnych, ludzi około 500 osób.

W kostnicy ludzie ocierali różańce o ręce zmarłej, nastrój był pełen pokoju i ciszy.

Przemówił jeden z kapłanów na temat jej ofiarnych cierpień, któraś z pań o tym jak Zofia-Medarda nauczyła nas poznawać i wielbić Miłosierdzie Boże. Jeden z panów świeckich mówił na temat jej żarliwej i skutecznej modlitwy.

Po pogrzebie ludzie długo jeszcze śpiewali pieśni przy jej grobie.

Do dziś ludzie ja tam odwiedzają, wnioskując po zawsze świeżych kwiatach i pielęgnacji grobu.

O pogrzebie mówiono, że był niezwykle. Ktoś powiedział: „Jeszcze na takim pogrzebie nie byłem”. Ktoś inny: Dziwny był ten pogrzeb, jakby świętą chowali”.

Ja osobiście w dzień po pogrzebie miałam znamienny sen o Zofii-Medardzie. Otóż śniłam, że przyszła do mnie (do domu, w którym mieszkałam w dzieciństwie) – przyszła w stroju kapłańskim, w białej do ziemi spływającej kapie, jakiej używa się przy błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem, zbliżała się majestatycznym krokiem, powoli, w postawie pełnej godności.

A w kilka dni później powtórnie śniła mi się, jak zdejmowała bandaż z mojej niedawno przedtem złamanej ręki.

Jej opiekę nad sobą dostrzegam często. Wiem, że wiele osób zwraca się do Niej z prośbą w różnych intencjach i bywają wysłuchane.

To co napisałam, jest oczywiście skrótem tego, co by można powiedzieć o Zofii-Medardzie. Wiele szczegółów, których nie pamiętam dokładnie, wolałam w ogóle nie notować. Bywałam u Zofii często i byłam nieraz zaskoczona niecodziennym naświetleniem życia nadprzyrodzonego.

A zawsze też w różnych troskach wychodziłam pocieszona i z nowym zapalem do wierności i gorliwości w służbie Bożej.

„Niech będzie uwielbiony Bóg w Swoich Aniołach i Swoich Świętych!”

Janina Thomasówna

Poznań, w styczniu 1974 r.

## **Świadczenie prof. Janiny Thomasówny o śp. Siostrze Medardzie (Zofii Wyskiel)**

Wpisany przez prof. Janina Thomasówna

wtorek, 01 listopada 2011 23:17 - Zmieniony poniedziałek, 07 listopada 2011 22:30

---

*Źródło: "Świadczenie prof. Janiny Thomasówny o śp. Siostrze Medardzie" - Z moich kntaków z Zofią Wyskiel (Siostrą Madardą) ur. 19.III.1893 r. - zm. 16.V.1973 r.*